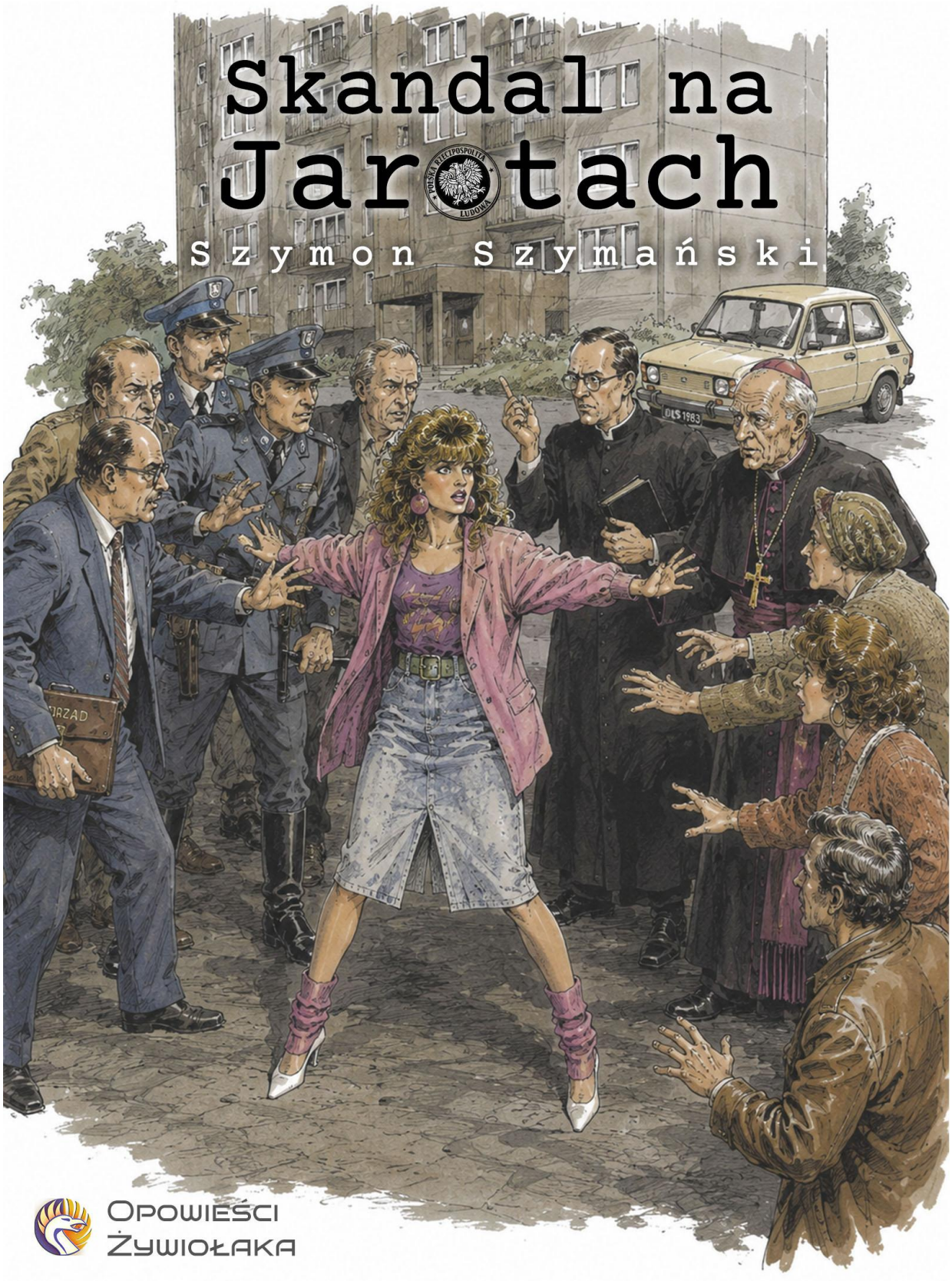
Skandal na Jarotach

Szymon Szymański



Opowieści Żywiołaka

Skandal na Jarotach

Szymon Szymański



Opowieści Żywiołaka

Leszno 2023

Nota redakcyjna

Szymon Szymański
„Skandal na Jarotach”

Wydawnictwo Opowieści Żywiołaka
https://opowiescizywiolaka.com
opowiesci.zywiolaka@gmail.com

2023, Leszno

Książka, którą właśnie pobraliście, jest dostępna tylko na stronie:
https://opowiescizywiolaka.com/
Jest ona dziełem autora, który za jej pobranie i czytanie nie pobiera żadnych opłat.
Prosimy, abyście przestrzegali praw, jakie przysługują autorowi. Zawartość tej książki możecie udostępnić nieodpłatnie osobom znajomym lub bliskim, ale nie publikujcie jej w Internecie, co najwyżej udostępniajcie link do pobrania:
https://opowiescizywiolaka.com/?p=2467
Jeśli cytujecie jej fragmenty, nie zmieniajcie jej treści i koniecznie zaznaczcie, z czyjego dzieła cytujecie.

1.

Twarz Zbyszka Hrywny, etatowego tokarza, pokrywały obleśne, czerwone krosty. Niektóre urosły tak bardzo, że przypominały dojrzałe, wtopione w skórę czereśnie.

— Powtarzam, zabierzcie od nas tę idiotkę — warknął Zbyszek przez zaciśnięte usta. Nie mógł normalnie mówić, bo wtedy krosty pękały i lała się z nich śmierdząca ropa.

Wiedźmy wymieniły zakłopotane spojrzenia.

— Mówiłam mu, żeby nie pił wódy po lekarstwie. Nie posłuchał się — powiedziała najmłodsza, ale jej wątły głos nie przebił się ponad gwar zgromadzenia. Usłyszała ją tylko starsza koleżanka.

— Milena, milcz, ja cię błagam. — Czarownica karcąco spojrzała na dziewczynę, a ta jakby zmalała ze wstydu i ukryła twarz w potoku jasnych włosów.

— I tak mnie nikt nie słucha — mruknęła pod nosem Milena.

— Daliśmy jej szansę — dodała Janina, żona blacharza, który nie mógł się stawić na zebranie. — Byliśmy cierpliwi, ale dość tego. Mój stary z wyra zleźć nie może, bo go po czarach tej panny pokręciło, jak dziada!

— Wiemy, że Milena bardzo się stara — podsumował pan Janiak, dyrektor olsztyńskiej Agromy. — Zawsze pierwsza biegnie na pomoc. Maści robi i czasem nawet coś jej się uda. Ale jak się bierze za czary, to wiadomo, że będzie tragedia.

Wanda, przewodnicząca wiedźmiej spółdzielni, wystąpiła przed zgromadzenie i podjęła beznadziejną próbę tłumaczenia podopiecznej.

— Nie przesadzajcie, ludzie. Dziewczyna ma dopiero dwadzieścia lat, różdżkę zdobyła w zeszłym roku.

— Czyś ty oślepła, jędzo szatańska? — wciął się Zbyszek, pokazując palcem nabrzmiałe oblicze.

Wanda westchnęła i nie próbowała więcej dyskutować.

— Musicie ją zabrać i przysłać nam kogoś doświadczonego — oznajmił Janiak.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Wiedźmy wsiadły do poloneza i opuściły zgromadzenie. W drodze powrotnej Milena chciała przeprosić, ale przewodnicząca nie dopuściła dziewczyny do głosu.

— Nawet słowem nie piśnij, bo cię znowu do wojskowej pralni oddam.

Milena struchlała. Wspomnienie smrodu żołnierskich onuc wystarczyło jej za nauczkę. Pomyślała, że lepiej nie pogarszać sytuacji, bo i tak spodziewała się kłopotów po powrocie do domu.

Domem Mileny była siedziba spółdzielni wiedźmiarskiej "Dobre Panie". Mieściła się w Olsztynie, w kamienicy zbudowanej obok bazyliki świętego Jakuba, co klechom było bardzo nie w smak. Wiedźmy nie tylko robiły ojczulkom konkurencję w usługach duchowych, ale też, dzięki dekretom komitetu wojewódzkiego, zostały zwolnione z podatku od nieruchomości, a także mogły legalnie prowadzić zielarnię i aptekę. Wszystko to razem dawało rezydentkom spółdzielni bardzo przyzwoity dochód, dzięki czemu ich siedziba prezentowała się okazale. Fasadę kamienicy zdobił sam Marek Budzyński, który projektował warszawskie osiedle Ursynów i kościół Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie. Architektowi żaden pieniądz nie śmierdział, czy to kościelny, czy wiedźmowy.

Z dobrym zarobkiem szła również dobra opinia, o którą spółdzielnia bardzo dbała. "Dobre Panie" jako jedna z bardziej poważanych spółdzielni w PRL, była synonimem uczciwości, jakości i dyskrecji. Dlatego sprawa Mileny bardzo wiedźmy martwiła.

— Co żeś znowu poplątała, dziewczyno?

Milena mięła w dłoniach skraj koszuli i cienkim głosem opowiedziała.

— Nie wytrzymam z tobą. Mów żesz głośniej! — zdenerwowała się Wanda.

— Bo jego na montowni pogryzły wełety. No to chciałam odczarować cholerę spod skóry, a na to najlepszy jest żabi skrzek. W drugiej kwarcie księżyca nazbierałam skrzeku, potem dusiłam w garze do pełni.

— Ty durnoto! — przerwała Wanda. — Żabi skrzek jest na pieprzyki albo kurzajki, a nie na ślinę borostworów.

Milena spuściła spojrzenie i nie odważyła się nic powiedzieć. Wcześniej była święcie przekonana, że na zajęciach z leczenia sama przewodnicząca polecała skrzek na wysypki. Teraz nie była już niczego pewna.

Do kancelarii wmaszerowała obszerna wiedźma Agata, specjalistka od uroków na niewiernych mężów. Spojrzała na Milenę z politowaniem i skierowała się do przewodniczącej.

— Pismo przyszło — oznajmiła Agata, kładąc przed Wandą kopertę ze znaczkiem. — Od prezesa Końskiego.

— A ten obwieś czego znowu chce? Mało mu było, jak nas wyrzucił z dzielnicy, dewot zasrany?

Wanda z niechęcią rozerwała kopertę i zajrzała w tekst. Kiedy skończyła czytać, jej twarz nabiegła krwią.

— Ależ ma tupet, a niech go diabeł wyrucha!

— Czego tam chce?

— No, czego? Pomocy! Pisze, że prywatna sprawa, że dobrostan żony został wystawiony na próbę.

— Kolejna do skrobania po cichu? — syknęła Agata.

— Niech się zwróci o pomoc do swojego klechy! — warknęła Wanda i cisnęła pismo w kąt. — Mówiłaś coś?

Milena postąpiła krok do przodu i faktycznie coś powiedziała.

— Głośniej!

— No, bo jeśli prezes pisze do nas, to znaczy, że musi być sprawa bardzo poufna.

Wanda chciała kąśliwie skomentować, ale Agata ją uprzedziła.

— Ma gówniara trochę oleju w głowie. Można by dwie pieczenie na jednym ogniu upiec.

— Jak to?

Agata złapała Milenę pod łokieć i brutalnie wypchnęła dziewczynę z kancelarii.

— Won! Dorośli będą o ważnych rzeczach rozmawiać.

Drzwi się zatrzasnęły.

2.

Józef Koński, prezes spółdzielni mieszkaniowej Jaroty, w młodości musiał być silnym i postawnym mężczyzną, lecz teraz, po pięćdziesiątce, zaokrąglił się w brzuchu i pod szyją.

— Tu pisze w liście, że masz obszerną wiedzę w sprawach kobiecych — powiedział prezes. — To prawda?

Milena przytaknęła.

— Gadatliwa nie jesteś, ale to mi odpowiada. Gadułów mam tu nadmiar. — Koński wymownie spojrzał w kierunku proboszcza Marka, któremu obecność wiedźmy bardzo nie odpowiadała. Piorunował ją spojrzeniem, odkąd zajechała do siedziby spółdzielni. Milenie ksiądz wydał się ładnym mężczyzną. Jego twarz, pełna chrześcijańskiego zapału, wzbudziła w niej litość. Zdawała sobie sprawę, że nienawistne spojrzenia to tylko przykrywka dla tłumionej przez lata, wykoślawionej chuci.

— Skoro więc masz taką wiedzę, to zaprzęgniesz swoje czary, żeby pomóc Jance, mojej żonie.

Na dźwięk słowa “czary” ksiądz Marek przewrócił oczami i głośno westchnął, lecz prezes go zignorował. Milena zadała pytanie, którego Koński nie dosłyszał.

— Pytałam pana prezesa, co Janinie dolega?

— Nie będę gadał, sama ci wyjaśni.

— Biskup nie będzie zadowolony — zauważył Marek.

— To już moje zmartwienie, księże proboszczu.

— Józef, spójrz tylko na nią — naciskał ksiądz. — Przecież z miejsca widać, że to służebnica Szatana. Młoda, śliczna, o bladej cerze i jasnych włosach. Jak nic zacznie pić krew miejscowych dzieci.

Milena zacisnęła zęby, ale nie miała wystarczająco odwagi, aby dyskutować.

— Widzę, że wpadła ci ona w oko, księże — zauważył prezes. — Nic dziwnego, ładna to ona jest. Ale won ci od niej, a swoje porady zostaw na Sąd Ostateczny.

— Udowodnię ci, jakie toto ma zamiary — zapewnił Marek i ruszył na wiedźmę zdecydowanym krokiem. Milena cofnęła się, wyciągając zza pasa dębową różdżkę. Wycelowała jej koniec w księdza, a ten się zatrzymał i rozłożył ręce.

— Nie zbliżaj się, bo w ropuchę zamienię.

— A nie mówiłem? Już mnie czarami straszy.

— Sam żeś ją sprowokował. Ciesz się, że nie zrobiła nic więcej. Wiedźma zostanie tak długo, jak zechcę. A teraz wracaj na plebanię, księże, a zarządzanie spółdzielnią zostaw mnie.

Marek syknął wściekle i wyszedł.

— Jakbyś miała z nim kłopoty, to przyjdź do mnie. Nie chcę, żeby mi tu biskup narzekał, że mu czarownica księdza w żabę zamieniła.

— To biedny człowiek — mruknęła Milena.

— Jakby w Polsce Ludowej każdy był tak biedny, jak on, to by się w pe—gie—erach na jedwabiu spało.

— On jest biedny, bo samotny — dodała wiedźma. — Reguła zabrania mu być mężczyzną. A przez to się rozum wykrzywia.

Prezes uśmiechnął się tylko i zamieszał łyżką w herbacie.

— Jest, jak jest. Skoro KC mówi, że wiedźmy są pożyteczne, to ja się spierał nie będę. Ale ksiądz też mi jest potrzebny, bo mieszkańcy spółdzielni tego chcą. Jakby nie chcieli, to by partia

już dawno pozamykała kościoły. A tak, proszę, znalazło się inne wyjście, żeby kościołowi dopiec. Są przecież wiedźmy.

— Pan prezes podobno sam jest wierzący.

— W co ja wierzę, to moja sprawa, a nie komitetu wojewódzkiego. Dobra, dość tego. Na teologiczną dysputę ochoty nie mam.

Do biura weszła Janina Końska. Kobieta posłusznie stanęła obok męża, dając się obejrzeć w pełnej krasie. Miała ciut powyżej czterdziestu lat, ale wyglądała na młodszą. Milena zwróciła uwagę na szerokie biodra Janiny, mocne ramiona oraz bardzo ładną, okrągłą buzię.

Koński przedstawił małżonkę i polecił paniom udać się na pogaduchy do prywatnego pokoju prezesa.

— Pan prezes wspomniał, że masz jakieś zmartwienie — zaczęła Milena. Janina spłonęła czerwienią i spuściła wzrok.

— Możesz mi zaufać. — Milena przysunęła się bliżej gospodyni i położyła dłoń na jej ręce. — Wszystko zostanie między nami, kobietami.

Ciężko było wyciągnąć prawdę z prezesowej. Coś głęboko leżało jej na sercu i bardzo się tego wstydziła. Milena musiała gospodynię długo urabiać, zapewniać o dyskrecji i namawiać na odrobinę szczerości.

— Chodzi o dziecko — mruknęła wreszcie Janina. — Józio liczy na mnie, że mu dam syna.

— W czym więc problem?

— No, w tym, że jakoś nie możemy.

— Nie możecie czego? — dociekała Milena, ale zawstydzona Janina zamilkła. — Na którym etapie macie problem?

— To ja mam problem — rzuciła Końska. — Z moim mężem jest wszystko dobrze. Wszystko tam działa, jak należy. No, w sensie, że on daje radę i wcale nie za krótko. Jest zawsze chętny i od ślubu często próbujemy.

— Rozumiem. Mówisz więc, że to z tobą coś jest nie tak. A kiedy próbujecie, to wszystko jest w porządku? Coś cię boli, coś przeszkadza?

— No… — Janina znów zamilkła, a Milena westchnęła zniecierpliwiona.

— Musisz mi powiedzieć coś więcej. Sama z siebie nie odgadnę natury problemu.

— Ja nie mogę. Toż to wstyd i groza przed Bogiem.

— Niech ci będzie. W takim razie muszę cię obejrzeć. Połóż się na łóżku.

Końska, nie bez oporów, rozciągnęła się na wersalce.

— Nie wstydź się, mam wszystko to samo. Teraz bioderka do góry. Proszę pod spód poduszkę.

— Ja nie wiem, czy to tak po bożemu.

Milena powoli traciła cierpliwość. Poczucie obowiązku i zawodowa ciekawość wzięła górę nad wrodzoną nieśmiałością.

— Chcesz się dowiedzieć, co jest nie tak, czy nie? No, to zegnij nogi w kolanach.

Milena podwinęła spódnicę prezesowej, ściągnęła jej majtki i pochyliła się nad kroczem pacjentki.

— Z zewnątrz wszystko wygląda normalnie — oceniła wiedźma. — Jak tu dotykam, to coś boli? A tu?

Janina zagryzła wargę i zacisnęła oczy.

— No, czuję, że naciskasz, ale nie boli — stęknęła.

— Dobra. Zobaczymy dalej.

Milena wyjęła z torby maść i posmarowała palce.

— Teraz się nie ruszaj i nie protestuj. Muszę zbadać w środku. Będzie prawie tak samo, jakby cię wziął mąż, tylko delikatniej.

Po chwili badania zaskoczona Milena spojrzała na Janinę.

— Boże wszechmogący — stęknęła prezesowa. — Coś strasznego znalazłaś?

Janina przełknęła ślinę.

— Nie. Nie wiem. Muszę się upewnić.

Milena wróciła między uda Końskiej. Tym razem wcisnęła palce głębiej i bardziej zdecydowanie pomacała pacjentkę od środka. Wynik badania nie pozostawiał wątpliwości.

— Jesteś dziewicą.

Janina zamarła, a Milena odniosła wrażenie, że nie było to dla prezesowej zaskoczenie.

— Janka, słyszałaś?

— Tak, tak. No, jestem, jak Dziewica Maryja. To chyba błogosławieństwo, co?

— Nie, jeśli się nie ma anioła pod ręką, żeby cię zapłodnił boską mocą.

Milena przysiadła na skraju łóżka i pozwoliła Janinie się ubrać.

— Mówiłaś, że robicie to często, tak?

Ciągle onieśmielona Janina przytaknęła.

— A, że tak zapytam, jak się z prezesem kochacie, to którędy on wchodzi?

Po kolejnej, ciągnącej się jak wielki post niezręcznej ciszy, Janina przełamała się.

— No, my, znaczy, mąż, to, on tak inaczej trochę.

— Inaczej?

— No, bo biskup powiedział, że tędy co, no, wiesz, Milena, tędy, co się krew leje, to że tam Szatan mieszka i samo zło.

Milena klepnęła się w czoło tak mocno, że mało co nie zemdlała.

— Ale to nawet miłe jest — przyznała Janina. — No, czasem trochę, tak, no…

— Ciasno?

— Ciasno, tak. Czasem nawet zabolało, ale myślałam, że to taki męczeński ból. Taki leciutki ból, żeby za dobrze nie było.

— Ale było dobrze.

— Oj, bardzo — wyrwało się Janinie, która natychmiast spłonęła ze wstydu.

— Nie ma w tym nic złego, że było dobrze — pocieszyła Milena — ale nie ma żadnej możliwości, żebyś w ten sposób zaciążyła.

— A co to za różnica? Mąż mnie przecież nasieniem…

— W dupie, kobieto, w dupie cię mąż nasieniem! — Milena nie wytrzymała. — Dobra, łatwo temu zaradzić. Musisz się z prezesem znowu bzykać, ale tym razem, że tak powiem, właściwą drogą.

— Ja nie wiem, czy on zechce. Jemu biskup do głowy nakładł, że…

— Szatan, wiem. Nie macie wyjścia.

— Oj, Milena, ja nie wiem. Gdybyśmy chociaż mieli pewność, że to przyniesie nam dziecko.

— Jest na to sposób. Czary.

— Czary?

— W sobotę przed północą weźmiesz się w łóżku za męża. Do tego czasu przygotuję składniki zaklęcia. Zrobicie to tak, jak trzeba i gwarantuję ci, że ta noc skończy się błyskawiczną ciążą.

Zza okna gabinetu rozmowie przysłuchiwał się ksiądz Marek. Na hasło “czary” zacisnął pięści i zgrzytnął zębami.

3.

Proboszcz Marek troszeczkę grzeszył. Nie za bardzo, żeby się w grzechu nie zatracić, tylko tak akurat, żeby nie zapomnieć, co znaczą szatańskie podszepty. Tak to sobie ksiądz wykoncypował, że żeby maluczkich pouczać, to musiał sam wiedzieć, przed czym ich ostrzegać.

Tej nocy postanowił oddać się grzesznym uczynkom, bo musiał jakoś odreagować tę przeklętą wiedźmę, która od tygodnia panoszyła się w jego parafii. Na samą myśl o dziewczynie robiło mu się gorąco. Myślał o jej włosach, które płonęły piekielną barwą. Myślał o jej oczach, które wierciły dziurę w duszy. Wspominał kształt jej dłoni, które potrafiły diabła ulepić z gliny. Żeby więc choć na chwilę odwrócić myśli w inną stronę, wybrał sobie ulubiony sposób grzeszenia, czyli prześmiewczą lekturę. Do tego dobrze nalał sobie piwa, co już grzechem nie było wcale.

Marek nie chwalił się nikomu, lecz w zakrystii chował małą bibliotekę, która u księdza mogłaby się wydać co najmniej niestosowna. Dzisiaj zdecydował się na literaturę obrazkową w wykonaniu Papcia Chmiela. Po kilku głębszych naśmiewał się z perypetii uczłowieczonej małpy.

— Ale durni ci biurokraci. — Ksiądz chichrał się w najlepsze, ale album szybko się skończył, więc myśli o pięknej wiedźmie od razu wróciły. Zbliżała się północ. Niesiony lekką głową po piwie, ksiądz postanowił interweniować w sprawie czarów, które tej nocy miały się odbyć.

Na czas pracy na Jarotach prezes Koński przydzielił Milenie kawalerkę na parterze jednego z bloków. Ksiądz wiedział którą, ponieważ spółdzielnia nie miała przed nim sekretów. Tam też się udał krokiem nie całkiem prostym i przyczaił w krzakach pod blokiem. Przez okno balkonowe zobaczył, co się działo wewnątrz.

Pokój oświetlał niebiesko-czerwony płomień z palnika na propan-butan. Butla z gazem stała na środku pokoju, a wokół niej wiedźma krzątała się w pośpiechu. Rozłożyła magiczne utensylia, a na betonowej podłodze kredą narysowała tajemne znaki.

Marek postanowił, że pójdzie teraz do wiedźmy i wygarnie jej z całego serca. Popił trochę piwa dla odwagi i już miał ruszyć, gdy zobaczył scenę jak z poezji Dantego. Wiedźma zrzuciła ubranie i w pełnej krasie tańczyła wokół palnika, sypiąc jakieś proszki i śpiewając pieśni w nieznanej mowie.

Od magii aż trzeszczało. Na trawnik pod blokiem zakradły się dziki, mamuny i inne borostwory, bo takiego widowiska dawno nie oglądały. Kiedy wiedźmi głos osiągnął wyżyny, dziewczyna wylała na gołe ciało garniec miodu. Marek nie mógł oderwać wzroku od podrygujących piersi i falujących włosów. Zupełnie się zatracił, a czas jakby stanął w miejscu. Ksiądz oprzytomniał dopiero, gdy Milena odwróciła się w jego stronę i wskazała nań palcem.

— Chodź do mnie. — Usłyszał w głowie.

Nogi same z siebie poprowadziły na klatkę schodową, a ręce z własnej woli zdjęły sutannę.

— Zaczarowała mnie — jęknął ksiądz.

Wiedźma wpuściła proboszcza do domu i obaliła go na posadzkę, po czym wzięła bezwstydnie, niczym Kalipso Odyseusza. W tej samej godzinie w sypialni Końskich działy się rzeczy równie namiętne. Tym razem zgodne ze sztuką robienia dzieci.

4.

Marek spał w najlepsze, gdy Milena się obudziła. Leżała wtulona w jego pierś i było jej bardzo wygodnie. Uśmiechnęła się na wspomnienie zeszłej nocy. Przepełniała ją duma, ponieważ zaklęcie poszło wyśmienicie, a noc uprzyjemniły chwile spędzone z proboszczem. Był podpity, owszem, ale dzięki temu się rozluźnił i zachował jak mężczyzna. Milena nie należała do rozwiązłych i nie kładła się z byle kim, ale tej nocy ją poniosło. Przepełniona magią po prostu nie opanowała pragnienia, które urosło z zaklęcia. Nie widziała w tym nic złego. Dla niej było to ludzkie, normalne. Niestety, jak wiadomo, co dobre to musi się skończyć, więc ksiądz wreszcie otworzył oczy. W pierwszej chwili się uśmiechnął i leniwie przeciągnął, lecz rzeczywistość szybko go dopędziła. Zerwał się na kolana i gwałtownie przeżegnał.

— Zgwałciłaś mnie!

Milena przewróciła oczami i powiedziała coś pod nosem, ale ksiądz nie dosłyszał.

— Rzuciłaś na mnie urok i bezbożnie wykorzystałaś!

— Nie zgwałciłam, nie zaczarowałam, tylko żeś sam przylazł, kiedy skończyłam czarować.

— Ty, ty…

— Dajże spokój, chłopaku. — Milena wstała i się przeciągnęła, a na ten widok Marek zadrżał. — Naprawdę będziesz mi tu sceny odgrywał? Czy ja cię do małżeństwa namawiam?

Ksiądz narzucił sutannę, lecz spojrzenia od Mileny oderwać nie mógł. Wiedźma też się ubrała i kucnęła obok.

— Dobry z ciebie człowiek — powiedziała — tylko ci rozum odjęło, bo się w kruchcie zamknąłeś i żyjesz bardzo niezdrowo.

Marek nie umiał znaleźć argumentu na ten zarzut.

— Ale że czary uprawiałaś, to nie zaprzeczysz — próbował dyskutować.

— Pewnie, że nie zaprzeczę. Czarowałam, owszem, ale nie ciebie, tylko prezesową. A przypomnę ci, matołku, że sam Pierwszy Sekretarz podpisał ustawę, że czarowanie będzie dozwolone, jeśli posłuży dobremu uczynkowi. A ja tu, wyobraź sobie, aż dwa dobre uczynki spełniłam.

Ksiądz wbił w Milenę zdezorientowane spojrzenie.

— Pierwszy uczynek dla Janiny, żeby poczęła dziecko.

— A drugi?

— A drugi dla ciebie, matołku, żebyś trochę rozumu nabrał. Ale to już było bez czarów.

Marek jeszcze długo nie mógł pozbierać myśli. Milena zostawiła go w kawalerce i poszła na śniadanie w towarzystwie prezesa.

M4 Końskich miało boazerię, meblościankę i kolorowy telewizor rubin. Dało się wyczuć, że mieszkał tu lokalny działacz partyjny. Tego dnia prezes z żoną wyglądali na szczęśliwych. Józef odzyskał trochę kolorów, a Janinie nie schodził z twarzy rozmarzony uśmiech. Podczas posiłku byli blisko siebie, a pod stołem spletli nogi i trzymali się za dłonie.

— Dobrze nam doradziłaś, wiedźmo — ocenił prezes, kiedy już napełnił brzuch. — Zostaniesz w spółdzielni na pół etatu, dopóki się nie okaże, czy twoje czary przyniosły efekt.

— To dobry pomysł.

Na Jarotach czarownicy nie było dawno, bo Koński wymówił wiedźmom lokal pod pretekstem szerzenia propagandy antysocjalistycznej. Wszyscy wiedzieli, że w rzeczywistości chodziło o układy prezesa z biskupem. Komitet wojewódzki już dawno się nauczył przymykać oko na lokalne powiązania, żeby nie zaogniać kruchej równowagi. Dopóki służby nie miały nic przeciwko, to i komitet nie narzekał. A kto wie? Być może biskup był TW i miał teczkę? W szczegóły nikt nie wnikał.

Milena pomagała głównie jako uzdrowicielka i zielarka. Do normalnej przychodni zawsze były kolejki, więc tymczasowy punkt konsultacji zdrowotnych w siedzibie spółdzielni szybko zdobył popularność. A roboty było mnóstwo, oczywiście najwięcej z dziećmi. A to krzywe plecy, a to ręka złamana. Najgorzej było z zębami. Mimo pielęgniarek i fluoryzacji w szkołach, rodzice nie zawsze pamiętali, co w domu robić, żeby próchnica się nie wdała. Był przypadek, że dziecko szorowało zęby dżemem, bo mu smak pasty do zębów nie pasował. Inny dzieciak miał wielką dziurę w dolnej piątce, do której rodzice wkładali kawałek sera, żeby nie bolało. Takich Milena piorunem odsyłała do dentysty, mówiąc, że tu czary nie pomogą, tylko poważna wiedza medyczna. W rzeczywistości nie chciała kusić losu. Ostatnie zaklęcie udało się wyśmienicie i na razie to jej wystarczyło.

Wiedźma napotkała też mnóstwo problemów ze sprawami kobiecymi. Poziom wiedzy na temat seksu, ciąży czy antykoncepcji był żaden, więc Milena cichcem kobiety edukowała i rozdawała “Sztukę kochania” Wisłockiej. Nie wszystkim się ten proceder podobał, ale opieka nad dziećmi zjednała wiedźmie powszechną sympatię. Początkową nieufność zastąpiła gościnna serdeczność. Kłopot był tylko z proboszczem Markiem.

Po wspólnej nocy Milena nie wyobrażała sobie kontynuacji ich znajomości, ale ksiądz miał na ten temat inny pomysł. Przez pierwszych kilka dni nie dawał dziewczynie spokoju. Wpierw obiecywał, że zrzuci dla niej sutannę i ożeni się z nią. Nachodził ją w mieszkaniu i namawiał na wspólne spacery i obiady. Zirytowana wiedźma wreszcie nie wytrzymała i postraszyła natręta różdżką. Wtedy nastawienie Marka zmieniło się diametralnie. W jego sercu ponownie rozkwitł inkwizycyjny zapał. Ksiądz zaczął grzmieć na kazaniach, że czary to uczynki Szatana, a wiedźmy to jego oblubienice. Wszystko to spowodowało, że msze zaczęły się wyludniać, bo mieszkańcy Jarot polubili Milenę. Nikt nie chciał dać wiary, że dziewczę tak skromne i sympatyczne mogłoby mieć cokolwiek wspólnego z diabłem. W ten sposób minęło wiele dni, aż się proboszczowi odkręciło i zaczął od nowa nachodzić wiedźmę. Wpierw przepraszał za głupoty, których naplótł na kazaniach, a potem znowu wiercił dziurę w brzuchu. I tak to w kółko trwało, dopóki sprawy Janiny Końskiej nie nabrały rozpędu.

Milena regularnie odwiedzała prezesową, ale nie tylko po to, żeby dbać o jej zdrowie. Bardzo się z Janką polubiły, więc spotkania trwały w nieskończoność. A to spacerek do Parku Czynu, a to piknik na Skandzie, a to czytanie Wisłockiej. Potrafiły całymi dniami nie odstępować się na krok. I tak upłynął miesiąc, odkąd Milena podpisała umowę z jarocką spółdzielnią. Pewnego dnia Janina zwierzyła się, że już czas, żeby pojawiło się krwawienie, a tu nic. Milena doradziła powstrzymać entuzjazm, bo to nic niezwykłego, że się okres może spóźnić. Gdy jednak po tygodniu nic się nie zdarzyło, wypadało poinformować męża.

Józefa zastały w sali konferencyjnej, w której zwykł przyjmować gości i wydawać przyjęcia. Prezes nie czuł się tego dnia najlepiej. Milena obiecała coś na to poradzić, a potem Janina podzieliła się nowiną.

— To wielkie święto! — krzyknął prezes, ale zaraz się skrzywił od bolącego brzucha.

— Jeszcze nie ogłaszajmy tego publicznie — zasugerowała Milena. — Janka jest w ciąży, owszem, ale jest wcześnie i różnie to bywa.

— Co bywa? — zaniepokoił się Józef.

— No, bywa, że się może ciąża nie utrzymać. To nie oznacza, że coś jest z Janką źle, tylko taka natura rzeczy. Nie od razu Rzym zbudowano.

Prezes się zamyślił.

— Strasznie te sprawy skomplikowane — ocenił.

— Jest dokładnie odwrotnie — pouczyła Milena, która ostatnimi czasy nabrała więcej pewności siebie — tylko wy, faceci, zrobiliście z tego czarną magię.

5.

Pilne wezwanie wyrwało Milenę ze snu. Pełna niedobrych myśli, szybko pobiegła do Końskich, a tam okazało się, że Janina czuła się bardzo dobrze. Tym razem to z prezesem było źle.

Józef leżał w sypialni i skręcał się z bólu. Przerażona Janina siedziała obok.

— Co mu jest?

— Sama zobacz.

Milena ściągnęła z prezesa kołdrę i obróciła go na plecy. Na widok wielkiego, okrągłego brzucha, złapała się za głowę.

— Co tu się dzieje? — wydyszał Koński.

Nie trzeba było wiedzy medycznej, magicznej czy jakiejkolwiek innej, by postawić diagnozę. Wiedźma jednak postanowiła sprawdzić i położyła drżące ręce na prezesie. Gdy macała okolice pępka, wyczuła pod skórą gwałtowne poruszenie.

— Ała! — jęknął Józef.

Milena spojrzała prezesowi w oczy i coś powiedziała.

— Co mówisz, dziewczyno?

— Jest pan w ciąży — powtórzyła.

— Matko Boska. — Janina się przeżegnała. — Jak to możliwe?

Odpowiedź była oczywista, lecz Milenie słowa uwięzły w gardle. Najwyraźniej zaklęcie omyłkowo trafiło prezesa, a Janina zaszła w ciążę, bo podeszła do sprawy tradycyjnie, a nie od dupy strony. Wiedźma była bardzo niepocieszona. Myślała, że zaklęcie poszło tak dobrze.

— To przez te twoje czary — rzucił prezes i uniósł się na łokciach. Bóle trochę zelżały, bo dziecko przestało kopać.

— Ty cholerna czarownico! I co ja mam teraz zrobić?

Janina próbowała uspokoić męża.

— Józiu, daj spokój. Dziecku zaszkodzisz.

— Co ty opowiadasz, kobieto? Jakie dziecko? Ja nie mogę mieć dziecka!

— Cóż, najwyraźniej pan może — oceniła Milena, która, mimo fatalnego zbiegu zdarzeń uznała, że sytuacja przedstawiała się niezwykle interesująco.

— Co teraz będzie? Co ludzie powiedzą, jak mnie zobaczą? A jak się dowiedzą, że jestem w… — Prezesowi nie starczyło odwagi, by wypowiedzieć te słowa.

— Sama mówiłaś, że trzeba miesięcy, żeby było dziecko — zwrócił się do Mileny. — Że wcześniej to zygoty i sroty.

— No, tak, ale mówiłam o normalnym rozwoju, nie magicznym.

— Cierpliwości mi już do was brakuje, baby! Mówiłaś, że to wszystko wcale nie jest skomplikowane, a tu co? — Z każdym zdaniem prezes nakręcał się coraz bardziej. — Macie to natychmiast usunąć!

Kobiety wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

— To nie takie proste. Teraz usunąć? No, nie wiem, zależy jak na to spojrzeć.

— To nie takie proste, zależy, jak patrzeć — piskliwie przedrzeźniał Józef. — Usunąć i koniec!

— Józiu, zastanów się. Przecież dziecko umrze — prosiła Janina.

— Diabeł, nie dziecko. Z czarów poczęte, diabelskie nasienie!

— Dziecko, jak dziecko — wtrąciła się Milena. — Dwie ręce, dwie nogi, nos pośrodku. Będzie takie samo, jak każde inne. Tylko trochę inaczej urodzone.

— Nic mnie nie interesuje. Wyciąć, spalić, roztopić w kwasie. Moje ciało, mój wybór!

— A co by proboszcz powiedział? — argumentowała Janina. — Albo biskup?

— Nikt nic nie powie, bo nikt się nie dowie.

— Panie prezesie. To niebezpieczne, również dla pana. Jest pan w trzecim trymestrze. Dziecko jest dobrze ukształtowane, wygląda mi na zdrowe. Jest za późno na aborcję.

— Nie waż mi się, babo, więcej tego przekleństwa używać — pogroził Józef. — Żadne aborty nie będą w moim domu.

— A jakbyś pan inaczej to określił, co? Odchudzanie? — Milenę zirytowała hipokryzja mężczyzny.

— Dziewczyno, błagam cię. — Prezes był bliski płaczu.

— Dość tego pieprzenia — wiedźma uniosła się. — Odmawiam usunięcia tej ciąży. To wszystko moja wina, przyznaję się, ale nie będziemy dyskutować o sprawach oczywistych. Na aborcję jest za późno i koniec. Dziecko trzeba donosić. Na moje oko zostały ze dwa tygodnie.

— Dziewczyno, litości. Jak ja to mam zrobić?

— Kobiety robią to od zarania dziejów. Pan też dasz radę.

6.

Biskup Franciszek Łukasiak na herbatę miał zawsze czas.

— Bardzo dobra — pochwalił. — Poproszę jeszcze cukru.

— To z paczki z Niemiec. — Proboszcz Marek podstawił znakomitemu gościowi cukierniczkę. — Czy możemy już jechać?

— Strasznie się niecierpliwisz, synu. A trzeba sobie pozwolić na drobne przyjemności, które w życiu są tak ulotne. — Biskup z przyjemnością popił ze szklanki w koszyczku. W jego wieku, a był już przed siedemdziesiątką, takie sprawy, jak dobra herbata miały wielkie znaczenie.

— Obawiam się, że mówimy o rzeczy niecierpiącej zwłoki.

— Czy nie przyjechałem na twoje wezwanie wystarczająco szybko, księże proboszczu?

— Tak, ojcze, ale…

— Synu, posłuchaj mnie uważnie. To są bardzo delikatne sprawy. Pośpiech będzie tu złym doradcą. Ja wiem, że ciebie i wielu z mojej owczarni bulwersują czarownice. Ich praktyki stoją w jawnej sprzeczności z nauką Kościoła, co zresztą sam wyraźnie zaznaczyłeś w liście.

— Jak Bóg na niebie — zapalił się proboszcz. — Czemu więc mamy czekać? Przecież prezes Koński to przyjaciel biskupa.

Łukasiak karcąco spojrzał na księdza.

— Kto jest moim przyjacielem, to moja sprawa — powiedział z naciskiem. — Nie możesz jednak, synu, pomijać kontekstu sprawy. Polska Ludowa stoi obecnie na dwóch filarach. Jednym jest nasz święty Kościół, a drugim partia. Nie możemy tego ignorować. Osoby, takie jak prezes Koński, łączą w sobie wpływy obu filarów. I skoro Józek uznał konieczność wezwania wiedźmy, to ja bym się wpierw zastanowił, dlaczego tak zrobił.

Proboszcz Marek poczuł się skarcony i zamilkł. Sądził, że wezwanie biskupa pomoże mu pozbyć się z Jarot wiedźmy, której nadal nie mógł wyrzucić z myśli. A tu, jak na złość, biskup nakazał cierpliwość. A tej akurat proboszczowi brakowało.

Picie herbaty przedłużało się w nieskończoność, aż w końcu Łukasiak podniósł się z krzesła i polecił wezwać auto. Marek odetchnął z ulgą. Niestety, prezesa nie było w spółdzielni od tygodnia i nikt nie wiedział, dlaczego.

— To musi mieć coś wspólnego z tą wiedźmą — warknął ksiądz, a biskup przewrócił oczami.

— Wracajmy na plebanię. Jutro zadzwonimy do biura i umówimy spotkanie.

— Nie. Coś musiało się stać — oznajmił Marek i nacisnął gaz.

— Synu, co robisz?

— Jedziemy do Końskich.

— To już jest przesada! — zdenerwował się biskup, ale proboszcz nie zwracał na nic uwagi. Zawrócił z piskiem opon i ruszył między bloki. Po chwili zatrzymał się pod właściwym adresem.

— Idziemy — polecił Marek zdecydowanym głosem. Zestresowany biskup wygramolił się z auta.

— Nie ujdzie ci to na sucho — zagroził.

— Nie gadaj, biskupie, tylko maszeruj.

Jak na złość, windę wyłączono z użytku, więc na górę trzeba było wdrapać się po schodach. Biskup dyszał, sapał i złorzeczył, ale proboszcz pozostawał głuchy na skargi. Gdy weszli na dziewiąte piętro, na klatce rozległ się wrzask mężczyzny. A potem następny. Za trzecim razem do chóru dołączył kobiecy pisk.

— A nie mówiłem?

— Matko boska — wydyszał Łukasiak. — Co to było?

— To na pewno czary. Szybciej!

Biskup musiał przyznać, że sprawa przedstawiała się podejrzanie, więc powziął ostatni wysiłek i pokonał resztę schodów. Ksiądz Marek już był pod drzwiami i wciskał guzik dzwonka, jakby chciał wybić dziurę w ścianie.

— Zwariowaliście? — zapytała Milena, uchylając drzwi.

— Wiedziałem, że coś knujesz — odparł ksiądz i naparł na drzwi. Do przedpokoju wbiegła spocona Janina.

— Milena, chodź już. A ci czego tu chcą?

Wiedźma postanowiła zignorować duchownych.

— Tylko mi nie przeszkadzajcie — rzuciła. Proboszcz Marek poszedł za Mileną do salonu, który bardziej przypominał salę szpitalną niż zwykły, dzienny pokój. Z podłogi zniknął dywan, a w jego miejscu zaległa płachta linoleum. Meblościankę pokryto mleczną ceratą, a na stole, zamiast dziennej zastawy, wiercił się Józef Koński. Prezes rozglądał się nieprzytomnie. Wyglądał, jakby zażył silne środki odurzające, które jakimś cudem nie ułożyły go do snu. Proboszcz zbladł na widok wielkiego brzucha pacjenta.

— Matko przenajświętsza. — Marek przeżegnał się kilka razy. — Coście zrobiły z prezesem?

Do salonu wreszcie doczłapał zziajany biskup. Jego spojrzenie padło na stolik, na którym Janina układała narzędzia chirurgiczne. W kącie obok stała aparatura anestezjologiczna.

— Józek! — wyrwało się Łukasiakowi. — Józek, co z tobą? — Franciszek momentalnie odzyskał siły i podbiegł do stołu. Na widok biskupa, prezes jakby się ożywił.

— Franiu — mruknął. — Mój Franiu.

Koński z wielkim trudem uniósł dłoń i pogłaskał starca po policzku.

— Ja umieram — wydyszał z trudem. — Jak dobrze, że jesteś. Tyle lat…

— Nic nie mów. Wszystko będzie dobrze. — Franciszek Łukasiak chwycił dłoń Józefa i złożył na niej pocałunek. Janina patrzyła na mężczyzn z czułością. Powinna czuć się urażona albo zdradzona, lecz zamiast tego przepełniało ją współczucie. Tymczasem zdezorientowany ksiądz Marek nie wiedział, co ze sobą zrobić.

— Jak to? Co oni? Oni?

— Napatrzył się? — zdenerwowała się Milena. — To wynocha mi stąd. Już żeście mi tu syfu nanieśli, trzeba będzie znowu wszystko odkazić.

Poczerwieniała twarz proboszcza nie wróżyła dobrze. Widziała to nie tylko Milena, ale i prezesowa.

— Księże proboszczu — powiedziała pojednawczo — niechże ksiądz zabierze biskupa i pozwoli nam wykonać robotę.

— Jaką robotę? Czy wy żeście wszyscy rozum postradali? Trzeba karetkę wołać, zawieźć prezesa do szpitala wojewódzkiego.

— Księże Marku, my tu sobie poradzimy — prosiła Janina. — Ja przecież tyle lat pielęgniarką byłam, a Milena zna się na rzeczy lepiej niż…

— Ta przeklęta jędza niech stąd wypieprza na miotle! Wystarczająco złego już narobiła!

— Uspokój się, durniu — warknęła Milena. — On sam wymyślił, żebyśmy przyjęły dziecko w domu, po cichu. Jeśli go zawieziesz do szpitala, to wszystko się wyda i jego życie będzie zrujnowane. Podoba ci się to?

— Nie będę z wami dyskutował — rzucił ksiądz i ruszył do stołu. Milena zagrodziła mu drogę i wycelowała różdżkę, ale we wszystko wmieszał się biskup.

— Uspokójcie się! Zrobicie krzywdę Józiowi!

Marek nikogo nie słuchał. Odepchnął Milenę, która upadła na linoleum i chwycił prezesa za ręce.

— Podnieś się, człowieku. Zabieram cię stąd.

— On nie może! — wrzasnęła Janina i rzuciła się na proboszcza. Biskup dołączył do kotłowaniny, żeby odepchnąć Marka. Wtedy Milena podniosła się z podłogi i wycelowała różdżkę.

— Dość tego!

Błysnął świetlisty promień i ugodził proboszcza prosto w twarz. Ksiądz jęknął, zachwiał się i zszokowany padł na kolana. Dysząca z nerwów wiedźma podniosła się, a gdy zobaczyła, co zrobiła, zakryła usta, tłumiąc cichy jęk.

Z księdzem było wszystko w porządku. Rozglądał się przez chwilę i obmacywał ciało, ale nic mu się nie stało. Za to, gdy spojrzał za siebie, zobaczył na podłodze pękatą ropuchę. Wyglądała na bardzo pospolity w Polsce gatunek bufo virdis — ropuchy zielonej. Płaz był szarawy w ciemnozielone łaty, o chropowatej skórze, upstrzonej czerwonymi plamami gruczołów jadowych.

— Ojcze biskupie — jęknął ksiądz.

Biskup w ropuszej postaci rozglądał się w poszukiwaniu muchy albo czegoś podobnego do jedzenia. Sprawy materii duchowej tymczasowo go nie interesowały.

Milena wyjęczała przeprosiny, ale chyba nikt jej nie usłyszał. Janina i proboszcz skupili się na złapaniu ropuchy, żeby nie wyskoczyła na balkon. Biskup wylądował w misce przykrytej durszlakiem.

— Ja nie chciałam.

— Te twoje przeklęte czary — powiedział ksiądz Marek, ale ręce opuścił bezwładnie, nie wiedząc, co robić dalej. Sytuację ogarnęła Janina.

— Dość tych awantur. Bierzemy się do roboty. Milena, trzeba przyjąć dziecko. Proboszcz będzie asystował.

— Ja w życiu tego…

— A właśnie, że tego — przerwała mu prezesowa. — Jak taki mądry jesteś od spraw kobiecych, to masz teraz okazję się wykazać.

I wykazał się. Ku zaskoczeniu wszystkich opanował nerwy, niechęć i uprzedzenia i po prostu pomógł. A operacja nie należała do łatwych. Milena pracowała drżącymi rękami, bo fizjologia mężczyzny była nieco inna niż u kobiety w ciąży. Mięśnie brzucha ułożyły się inaczej, więc cięcie trzeba było poprowadzić niestandardowo. Okazało się, że zwykle niezbyt rozmownej Milenie pomogło plotkowanie z Janiną.

— Wiedziałaś o nich?

— Józek był za młodu w seminarium — opowiedziała prezesowa — ale nie zrobił święceń. Poszedł w politykę. Może wtedy?

Janina pozwoliła sobie na wynurzenia i opowiedziała praktycznie całą historię jej małżeństwa. Milena słuchała jednym uchem i niewiele zapamiętała, ale nie to było najważniejsze. Spokojny głos przyjaciółki okazał się balsamem na nerwy młodej wiedźmy. Dzięki temu wszystko poszło dobrze. Milena była pod wielkim wrażeniem, jak jej zaklęcie zmieniło biologię dorosłego człowieka. Na jej oko wszystko potoczyło się prawidłowo. Chłopiec ułożył się nawet w odpowiedniej pozycji do porodu, więc wyjęcie malucha nie nastręczyło problemów. Szczęśliwie łożysko zagnieździło się w jamie otrzewnej poprzez pojedynczą i bardzo wyraźną szypułę naczyniową przyłączoną do sieci większej. Umożliwiło to sprawne podwiązanie łożyska i usunięcie. A potem zostało tylko zaszyć prezesa.

Według Mileny chłopiec urodził się tydzień za wcześnie, ale był zdrowy. Najbardziej zachwycony wydawał się proboszcz, który z chęcią uczestniczył w myciu malucha.

— Przepraszam was — powiedział trzymając zawiniątko. — Taki durny byłem.

— Durny byłeś, owszem — skomentowała Janina.

— Dobry z ciebie człowiek — pochwaliła Milena i pocałowała księdza w policzek.

7.

Prezes wybudził się nad ranem. Czuł się i wyglądał jak ruski czołg pod Studziankami.

— Czy ja dobrze pamiętam, że widziałem Franka? — szepnął do Mileny podczas zmiany opatrunków. Wiedźma przytaknęła, ale Koński wyczuł, że coś go ominęło. Nie zostało nic innego, jak tylko opowiedzieć, co się stało. Milena niczego nie pominęła. Prezes słuchał uważnie, a na koniec westchnął i zamknął oczy.

— Janka, ja cię przepraszam.

Janina chwyciła dłoń męża.

— Nic nie mów, głupku, tylko wracaj do zdrowia.

— Pokażcie mi dziecko.

Proboszcz Marek położył noworodka obok Józefa. Chłopczyk ciągle jeszcze nie otworzył oczu. Prezes pogłaskał go po głowie.

— Śliczny. I taki spokojny.

— Jest zdrowy i silny — pochwaliła Milena.

— Ale nie mój. Moje dziecko jest tutaj. — Prezes wskazał Janinę.

— Wiem.

— On jest dzieckiem twoich czarów. Musisz go zabrać.

W salonie zapadła cisza, którą przerwał płacz chłopczyka. Janina zabrała go do kuchni, gdzie przygotowała butlę z mlekiem. Normalnie o dziecięce kleiki było niezwykle trudno, ale prezes zawczasu nabył w Pewexie cały zapas, gdy tylko się okazało, że Janina zaszła ciążę.

— Zostanę, dopóki prezes nie stanie na nogi — postanowiła Milena. — A potem razem z chłopcem wrócę do swojej spółdzielni.

— Dajcie mu na imię Franek — zaproponował Józef.

— Niech będzie. Franciszek.

— Milena. Jeszcze jedno.

— Tak, panie prezesie?

— Odczaruj biskupa, bardzo cię proszę.

8.

Prezes Koński załatwił Milenie przydział na wózek dziecięcy z zasobów spółdzielni mieszkaniowej. Postarał się też o dyskretne przeprowadzenie papierologii, która pozwoliła chłopcu nadać PESEL.

Franciszek miał już miesiąc i był spokojnym dzieckiem. Płakał, owszem, ale nigdy za długo. W zamian za to uwielbiał się wiercić i wymachiwać nogami. Chrzciny chłopca poprowadził sam biskup Łukasiak, który uznał całą historię za dowód łaski boskiej. Rodzicami chrzestnymi Franka zostali Końscy.

W dzień po ceremonii Milena miała już wsiąść do samochodu i wrócić do siedziby spółdzielni “Dobre Panie”, ale zatrzymał ją proboszcz Marek.

— Chciałbym, żebyś dobrze mnie zapamiętała — powiedział.

— Przecież ja nie uciekam na Księżyc, tylko do centrum. Pewno się jeszcze kiedyś spotkamy.

— No, racja, ale i tak chciałem swoje powiedzieć.

Marek nie dosłyszał odpowiedzi Mileny. Uznał, że może mówić dalej.

— Wtedy w nocy, w mieszkaniu… Ja wiem, że mnie nie zaczarowałaś. To samo ze mnie wyszło, przyznaję. Ale nie będę przepraszać, bo czuję, że to była boska interwencja. To nie było złe i tak miało być. Chyba sam Bóg chciał, żebym sobie przypomniał, co to znaczy być dobrym człowiekiem. Trochę pokrętnie to brzmi, ja wiem.

— Ja cię rozumiem — rzekła Milena. — To mądre, co powiedziałeś. Dziękuję.

Niedługo później Milena siedziała z dzieckiem na rękach w gabinecie Wandy. Przewodnicząca wiedźmiej spółdzielni nie mogła wyjść z podziwu, czytając list pochwalny od prezesa Końskiego.

— Nie wiem, coś tam nawyprawiała ani skąd masz tego dzieciaka — skomentowała Wanda, odkładając list — ale muszę ci pogratulować. Prezes Koński przeprasza za wcześniejsze pomówienia i zachęca wiedźmy do przyszłej współpracy. No, prędzej bym się spodziewała Pierwszego Sekretarza w sukience niż takie coś.

Wanda parsknęła śmiechem, a wiedźma Agata jej wtórowała.

— Pewnie spodziewałyście się, że znowu coś zawalę, a przy okazji sprawię prezesowi przykrość, co? — Milena zaskoczyła starsze wiedźmy zuchwałością. — Tak chciałyście dwie pieczenie na jednym ogniu upiec, prawda?

— Milenko, coś ty — zaprzeczyła Wanda, ale młoda czarownica nie pozwoliła jej kontynuować.

— Nie musicie kłamać. Już ja was znam. Aż za dobrze. Dlatego mam tu dla was drugie pismo.

Wanda przetarła oczy ze zdumienia, czytając dokument. Agata zajrzała jej przez ramię i też się zdziwiła.

— Wypowiedzenie?

— Tak. Nie będę już waszym popychadłem.

— A co ty, gówniaro, zrobisz bez nas? — prychnęła Agata. — Do klasztoru pójdziesz?

— Nie. Jestem niewierząca. Zakładam swoją spółdzielnię i zajmę się edukacją wśród kobiet i młodzieży. A wy się nad sobą zastanówcie, siostry, bo czeka was jeszcze niejedno zaskoczenie.

Koniec.

Jeśli opowiadanie przypadło Ci do gustu, możesz wesprzeć działalność autora stawiając mu kawę:

https://buycoffee.to/szymon—szymanski

